

TOMASZ FRANKOWSKI
PIOTR WOŁOSIK

FRANEK

PRAWDZIWA HISTORIA ŁOWCY BRAMEK



FRANEK

PRAWDZIWA HISTORIA
ŁOWCY BRAMEK

Tekst © Copyright Tomasz Frankowski i Piotr Wołosik, 2020

Redakcja: Piotr Bratkowski

Korekta: Marcelina Szewczyk

Projekt graficzny: Cezary Piotrowski

Koordynator projektu: Katarzyna Drosio

Zdjęcia:

Okładka: AFP/East News, Maciej Gilewski/058sport

Środek: Archiwum prywatne Tomasza Frankowskiego (35), Włodzimierz Sierakowski/400mm (x2), Tomasz Markowski (3), Grzegorz Jakubowski, Kamil Krzaczyński, Maciej Śmiarowski (3), Jan Malec, Maciej Gilewski/058sport, Marek Zieliński (2)

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

Ul. Domaniewska 49

02-672 Warszawa

ISBN: 978-83-8091-960-0

Warszawa 2020

TOMASZ FRANKOWSKI
PIOTR WOŁOSIK

FRANEK

PRAWDZIWA HISTORIA
ŁOWCY BRAMEK

WARSZAWA 2020

BIBLIOTEKA
SPÓRTOWY

CZAS NIE LECZY RAN, CZYLI JAK NIE POJECHAŁEM NA MUNDIAL

Pod koniec 2005 roku byłeś na absolutnym topie. Pół roku zostało do mistrzostw świata w Niemczech, na które ostatecznie Paweł Janas cię nie zabrał. Gdy w restauracji hotelu Marriott selekcjoner ogłaszał powołania, Polska oniemiała, a ja omal nie spadłem z krzesła.

Po niedzielnym meczu z Wyspami Owczymi z Wroniek (tak, tak, tam się kiedyś grało mecze reprezentacji) do Krakowa odwoził mnie brat. Zabrał się z nami Łukasz Sosin. Tuż przed wyjazdem, przed hotelem zauważyłem trenera Macieja Skorżę. Wyszedłem z samochodu, by się pożegnać. Mimochodem zapytałem:

– Maćku, może mi dyskretnie powiesz, czy Łukasz ma na co liczyć, czy może wczasy wykupować?

O siebie nie pytałem, bo to, że jadę, wydawało się oczywiste. Spytałem więc, kto jedzie z dwójki Marek Saganowski – Sosin. Sądziłem, że decyzja podjęta, bo przecież następnego dnia, w poniedziałek, trener miał ogłosić skład.

– Ty wiadomo, bądź spokojny, a co do Łukasza i Marka, dziś wieczorem będziemy dyskutować. Jedź ostrożnie – troskliwie zęgnął mnie Skorża, asystent trenera Janasa.

Do Krakowa dojechaliśmy w nocy. Poniedziałek miałem zaplanowany jak każdy zwykły dzień. Rano odwoziłem syna Fabiana do przedszkola i zabrałem się za załatwianie spraw, żeby pozamykać je przed mistrzostwami. Nagromadziło się tego, bo przez ostatnich kilka miesięcy nie było nas w Polsce. A to umówić ogrodnika, a to fachowca do konserwacji alarmu. Ani się obejrzałem, a nadszedł wieczór. Zabrałem się do kąpania dzieci.

Nie odbierałem w domu Polsatu, a nawet do głowy mi nie przyszło, by wieczorem wybrać się do kogoś na ogłoszenie mundialowych nominacji. Nie przepadam za takimi uroczystościami, nawet rzadko zdarzało mi się oglądać losowania europejskich pucharów. Tym razem też nie zawracałem sobie tym głowy, a jeśli chwilę pomyślałem o kadrze na mistrzostwa, to raczej na zasadzie, czy pojedzie Marcin Kuś, czy Maciej Scherfchen lub kogo wybierze Janas z dwójki: Saganowski – Sosin.

I nagle telefon zaczyna tarabanić.

Wiedziałem, że po ogłoszeniu zadzwoni rodzina z gratulacjami lub dziennikarze, bym podzielił się wrażeniami. Kąpiąc Fabiana i Oliwkę, słyszałem gdzieś tam telefon, ale po pierwsze miałem mokre ręce, a po drugie nie spieszyłem się z odebraniem. Słyszę, że znowu dzwoni. I tak w kółko. Pewnie brat, przyjaciele... Czego tu gratulować? Choć na tamten moment forma była daleka od ideału, mój wyjazd na mistrzostwa od dawna był pewny. W końcu wzięłem komórkę do ręki. Pięć połączeń nieodebranych, kilka SMS-ów. Czytam pierwszą wiadomość: „Jestem w szoku!”. Czytam drugą: „Co on, kurwa, narobił?!”. O co chodzi? Kogo ten Janas nie wziął? W salonie żona oglądała coś w telewizji. Mówię:

– Włącz telegazetę, bo chyba coś złego dzieje się z tymi powołaniami.

– Co ty mówisz... Nie żartuj – uspokajała Edytka.

Odpalam telegazetę i wzrokiem od razu szukam nazwisk napastników: Żurawski, Rasiak, Jeleń, Brożek.

To, co poczułem, trudno opisać. Nogi się pode mną ugięły. Spojrzałem na płaczącą Edytkę. Jakby zmarła bliska nam osoba. Staralem się trzymać, pocieszałem żonę:

– Edytko, to tylko piłka. Świat się nie kończy.

Ale w środku się gotowałem. Patrząc na zrozpaczoną żonę, zacząłem coś tłumaczyć, niby że Janas miał podstawy i tak dalej. A naprawdę jedno chodziło mi po głowie: O co tu, kurwa, chodzi?!

Dziennikarze wydzwaniali jak szaleni. Chcieli pewnie, bym natychmiast słownie zniszczył Janasa. A ja po raz pierwszy w karierze postanowiłem nie rozmawiać z mediami. Przynajmniej tego wieczoru. Co bym nie powiedział – i tak pewnie byłoby zasadne, kibice stanęliby po mojej stronie. Ale co z tego?

Najmocniejszymi wypowiedziami, przekleństwami nie zmieniłbym decyzji. Postąpił źle, najpodlej, jak można. Kto tego nie przeżył, nie zrozumie, co wtedy czułem. Kibice, większość dziennikarzy i piłkarskiego świata byli zgodni, że wyrządził mi wielką krzywdę. Absurdalnie brzmiały głosy, że powinienem jechać za zasługi. Zasługi?! Za zasługi to się na Powązkach leży. Przez tydzień ostatnich treningów we Wronkach Janas nie mógł, nie miał prawa uznać, że Grzesiek Rasiak czy Irek Jeleń są w lepszej dyspozycji niż ja. Ale mnie szokowało nie to, że postawił na innych, tylko że to ja nie jadę do Niemiec.

Dlaczego nie byłeś ulubieńcem Janasa? Jakoś to sobie dziś tłumaczysz?

Dwa lata wcześniej powołał mnie do kadry po moim piętnastym голу w szóstej czy siódmej kolejce ekstraklasy. Powołał „na odczepnego”, na wyraźne życzenie prasy. A jego pech polegał na tym, że w wyjazdowych meczach eliminacyjnych przeciwko Austrii i Walii strzeliłem dwa bardzo ważne, zwycięskie gole. Nie miał podstaw do pomijania mnie przy kolejnych powołaniach, bo co mecz zdobywałem bramki. Jeżeli chodzi o mistrzostwa świata, usypiał moją czujność zapewnieniami, że jestem mu potrzebny i szanuje mnie jako piłkarza.

Jak musiał czuć się Maciek Skorża? Przecież zapewniał mnie, że jadę na mundial! Skoro to mówił, a mówił też trener bramkarzy – Jacek Kazimierski – miałem prawo sądzić, że wszystko jest OK.

Wcześniej zdążyłeś udowodnić, że warto na ciebie postawić. W lidze i właśnie w „janasowej” reprezentacji.

Janas później próbował sprzedawać kit, że te spotkania z Litwinami i Wyspami Owczymi miały znaczenie przy powołaniu. Ale wcześniej i on, i sztab wciąż wbijali nam do głowy, że formę mamy szykować na czerwiec, a nie na te dwa sparingi na początku maja.

Ktoś mnie zapytał, czy to nie zemsta za to, że do jego reprezentacji trafiłem dzięki naciskom mediów. Że mylił się, pomijając mnie przez dłuższy czas. Nie mam pojęcia. Jednak na pewno nie mogę tego wykluczyć. Gdybym miał ważnego piłkarza w zespole, a za takiego się uważałem w jego reprezentacji, to gdyby on był w słabszej dyspozycji na miesiąc przed mistrzostwami, wziąłbym go na bok, porozmawiał z nim i pomógł przygotować go do turnieju. Janasa nie było na to stać. Widocznie nie miał do mnie zaufania.

Twój były trener z Wisły – Wojciech Łazarek – oburzony stwierdził, że nawet jeśli Janas za tobą nie przepadał, powinien zabrać cię na mistrzostwa choćby jako tego 23 piłkarza. Jak to nazwał: do defilady. Henryk Kasperczak oraz inni trenerzy surowo ocenili decyzję selekcjonera.

Gdybym miał jechać jako dwudziesty trzeci zawodnik, z łaski, jako ostatni kadrowicz, to lepiej, że nie pojechałem. Byłoby to dla mnie uwłaczające. Miałem w karierze wielu tre-

nerów. Wymagających i mniej. Takich, którzy mieli do mnie zaufanie, i takich, których musiałem swoją grą przekonywać – na przykład Henryka Kaspercza. Ale żaden nigdy nie potraktował mnie jak Paweł Janas...

Tego paskudnego wieczoru dostałem mnóstwo SMS-ów od ludzi z pierwszych stron gazet, nie tylko związanych ze sportem. Nikt, ale to nikt nie był w stanie pojąć braku powołania. Wszyscy chcieli, oprócz Janasa. Na kilka dni przed śmiercią sam Kazimierz Górski stwierdził: Janas to tego „Franka” powinien zabrać. „Wciąż mam przed oczami kamienną twarz Janasa, gdy Tomek strzelił gola Anglikom na Old Trafford i wielką radość selekcjonera z gola Grzeška Rasiaka strzelonego Wyspom Owczym”. Nie pamiętam, kto to powiedział, ale to idealnie odzwierciedlało stosunek Janasa do mnie.

Budzisz się we wtorek. Wiesz, że marzenie – udział w mistrzostwach świata – nie spełni się.

Z poniedziałku na wtorek zasnąłem o czwartej nad ranem. W głowie kłębiło mi się pytanie: dlaczego? Chciałem za wszelką cenę pojąć, co się wydarzyło. Spałem kilka godzin. Rano pomogłem żonie ubrać dzieci, nakarmić, odwiozłem Fabiana do przedszkola. Trzeba żyć, choć głowa bolała i nie byłem w stanie się skupić. Postanowiłem na krótko odciąć się od otoczenia. Nie chciałem co chwila przyjmować „kondolencji” na krakowskim Rynku.

Kontaktowałeś się z innymi „odstrzelonymi”: Tomaszem Kłosem, Jerzym Dudkiem?

Byłem w kontakcie z równie przybitym Tomkiem. Z Jurkiem też rozmawiałem. Czwarty z niespodziewanie skreślonych – Tomasz Rząsa też był w szoku.

W jednym z talk show Jerzy Dudek starał się dowcipnie wyjaśnić brak powołania. Prowadzący sugerował, że trener, wybierając skład nocą i w samotności, mógł być niedysponowany. „Może miał urodziny?” – zagał. Dudek odparł: „Z tego, co wiem, to trener Janas codziennie ma urodziny!”.

Sądziłem, że może ktoś z PZPN czy, powiedzmy, drugi trener zadzwoni, pogada i może wyklaruje, o co w tym wszystkim chodzi. Dostałem tylko SMS od kierownika: „Co robimy z biletami na mundial?”. Zrezygnowałem z większości wejściówek. Były przeznaczone głównie dla brata i jego kolegów, ale w ramach protestu odpuścili wyjazd.

Przeglądałem prasę, internet, żeby znaleźć choć część odpowiedzi na pytanie, co kierowało Janasem. Ale wszystkie jego wyjaśnienia szły w niezrozumiałym kierunku.

Pamiętasz je?

Po pierwsze. Janas zarzucił mi, że na boisku myślę tylko o sobie. Czy w meczach z Litwą czy Wyspami Owczymi „szukałem” gry pod siebie?! Nie podawałem kumplom? Strzelałem z każdej, nawet nieprzygotowanej pozycji? Nonsens.

Po drugie. Wyczytałem, że byłem psychicznie rozbity. Bzdura. Z powodu trzech miesięcy nieskutecznej gry w Anglii nie tryskałem humorem, ale ze skrajnym załamaniem nie miało to nic wspólnego! Nikomu wokół nie zatrulałem życia. A skądinąd Janas przecież nie lubił zbyt radosnych piłkarzy. Wolał podobnych do swojej natury mruków.

Po trzecie. Zarzucił mi, że do Wolverhampton odszedłem dla pieniędzy i przez to straciłem formę. Nieprawda. Przeniósłem się do Anglii głównie dlatego, że chciałem trafić do silniejszej drużyny i lepszej ligi! Sądziłem, że to zaprocentuje nie tylko podczas mundialu, ale także po nim.

Po czwarte. Zarzut, że jestem przemęczony. Tu akurat jedyna prawda. Miałem za sobą ciężki sezon, ale w ciągu miesiąca, który został do mistrzostw, mogłem spokojnie zregenerować siły.

Po piąte. Nie doszedłbym do siebie po urazie w towarzyskim meczu przeciwko Wyspom Owczym. Kolejna głupota. Ten lekki uraz minął po trzech dniach i kilku tabletkach. O tym, że nie było to nic poważnego, wiedzieli lekarze reprezentacji. Janas jednak twierdził, że nie odbudowałbym się do mistrzostw świata. Ale wierzył, że Jacek Krzynówek, który bardzo mało grał w sezonie, do mistrzostw „dojdzie”.

Po szóste. Stwierdził, że jestem słaby psychicznie. Zdobyłem wiele ważnych goli w ostatnich sekundach meczów i robiłem to z zimną krwią! Gdybym psychicznie siadał, pewnie nie podołałbym presji ze strony Janasa, gdy w meczach eliminacyjnych bardziej czyhał na mój błąd niż na bramkę.

Przypuszczam, że długo przed mundialem wiedział, że mnie z kadry usunie. Ale jeśli już miał tak zrobić, mógłby pokazać odrobinę klasy. Nie pokazał, a wystarczyło mnie wziąć na krótką rozmowę i po temacie... Tłumaczył, że trener Antoni Piechniczek też do niego nie zadzwonił z informacją, że nie zabierze go na mundial do Meksyku. Odreagował na nas własny uraz?

A prezes PZPN Michał Listkiewicz, którego szanuję, lekko się wygłupił, zapraszając mnie, Dudka, Kłosa i Rzęsę do łoża VIP-ów na mundialu. Podziękowałem mu grzecznie. Nie byliśmy wtedy oldbojami, którzy skończyli grę.

Wokół tego braku powołania narosło sporo legend, ale ku pewnej wersji obaj się skłaniamy. Sporo szczegółów układa się tu w wiarygodnie brzmiącą całość. Trudno uznać ją za pewnik, ale... Chodzi mi o pewną opowieść Pawła Kryszałowicza.

Mateusz Borek, który wówczas był dziennikarzem Polsatu, w przeddzień powołań widział na piętrze, które w hotelu zajmował sztab reprezentacji, kręcącego się menedżera.

Był nim Radosław Osuch, w tamtym czasie mocny człowiek w branży.

No i wedle kilku źródeł następnego dnia, już w dniu powołań, o godzinie 13 zadzwonił do Pawła Brożka, swojego podopiecznego z informacją, że Paweł, wtedy piłkarz Wisły, pojedzie na mistrzostwa. A oficjalne ogłoszenie składu miało się odbyć dopiero wieczorem.

Kilku piłkarzy, w tym wspomniany Kryształowicz, było świadkami telefonu, który Paweł Brożek odebrał na tak zwanym głośnomówiącym.

Paweł spytał menedżera, w jakiej sprawie dzwoni, i usłyszał tekst: „Małolat, ty się pakuj, bo na mundial jedziesz!”. „Broziu” zreflektował się i wyłączył tryb głośnomówiący, ten i ów coś w szatni usłyszał. A Paweł ponoć niespecjalnie uwierzył, że zostanie powołany.

Uznajmy, że zamiast ciebie sensacyjne powołanie dostał Paweł Brożek, który w eliminacjach do niemieckich mistrzostw świata nie zagrał ani minuty.

A „zamiast” Jerzego Dudka – Łukasz Fabiański. Tu plotkowano, choć zaznaczam, nie wiem, ile w tym prawdy, że Osuch chciał się związać umową z „Fabianem” i przeprowadzić jego transfer za granicę. Wątpliwości budziło też zabranie na mundial Darka Dudki.

To był kolejny podopieczny Osucha, który też nie zagrał w eliminacjach choćby minuty.

„Zamiast” regularnie powoływanego przez Janasa Tomka Kłosa.

Selekcjoner, Osuch, Dudka i Fabiański byli mocno związani z Wielkopolską i Wronkami. Przypadek?

Żeby nie było niedomówień. Chłopakom mogłem tylko pogratulować, przecież sami się nie powołali. Trudno mieć do nich jakiegokolwiek pretensje, tym bardziej że wtedy byli na początku swojej przygody z piłką.

Spotkałeś się z Janasem już po tych powołaniach?

Dopiero w 2018 roku, gdy obaj zostaliśmy ekspertami TVP podczas mistrzostw świata w Rosji. Wcześniej mijaliśmy się na jakichś uroczystościach piłkarskich, ale bez kontaktu. Zetknęliśmy się po przeciwnych stronach barykady, gdy u schyłku kariery byłem napastnikiem Jagiellonii, a on trenerem warszawskiej Polonii.

Mecz w Białymstoku był twoją małą zemstą.

Wygraliśmy 1:0. Nie ukrywam, miałem satysfakcję z kilku powodów. Wtedy walczyłem z kontuzją. Na nogi przez dwa dni stawał mnie, nie po raz pierwszy, bioenergoterapeuta Adam Gocel. Dokuczał mi mięsień dwugłowy. Ogrywając Polonię, wskoczyliśmy na pierwsze miejsce w tabeli, co dla Jagi znaczyło bardzo dużo.

Trener Michał Probierz chciał zastosować fortel, posyłając mnie do gry w podstawowym składzie. Ja wolałem wejść w drugiej połowie, bo noga bolała. Probierz przytomnie tłumaczył: „Wejdiesz po godzinie, noga się odezwie, nie dasz rady i będziesz musiał zejść, stracę dwie zmiany. Jeśli zagrasz od początku i doznasz urazu w pierwszej części, stracę ewentu-

alnie jedną”. Ostatecznie postanowiliśmy zrealizować mój scenariusz i zaznaczyłem, że poczekam na swoją okazję, a do tego momentu nie będę robił ryzykownych wejść.

No i chwilę przed końcem meczu spełniło się!

Piłkę dorzucił Franck Essomba. Odskoczyła mi nieco, jednak ją dopadłem i leżąc, wbiłem w kozioł. Przeleciała nad Sebastianem Przyrowskim. 1:0!

To był mój siedemnasty gol w siedemnastym meczu przeciwko Polonii. Oj, leżał mi ten klub. Ale oczywiście największą frajdę miałem z tego, któremu trenerowi w tamtym dniu zepsułem humor. Gol, wygrana, lider. Schodzącego z boiska Janasa kibice okrutnie zelżyli. Wszyscy pamiętali święństwo, które mi zrobił...

W 2018 w telewizyjnym studiu trochę porozmawialiśmy, wybitnie kurtuazyjnie, o pogodzie. O mistrzostwa nie pytałem, bo wiedziałem wszystko o tak zwanym tropie wielkopolskim. Reżyser programu lojalnie zadał mi pytanie, czy ma coś robić, byśmy na siebie nie wpadli. Powiedziałem, że nie.

Czas leczy rany?

W tamtym wypadku – nie. To była jedyna okazja, bym wziął udział w mistrzostwach świata. A co to oznacza dla piłkarza, tłumaczyć nie muszę. Przecież po rozmowach z trenerami Jackiem Kazimierskim oraz Maciejem Skorzą została ustalona lista 23 piłkarzy na mundial. A Janas w telewizyjnym show ogłosił inną. Miał prawo, ale po co robił cyrk z naradą ze swoimi współpracownikami, skoro ich zdania ostatecznie nic nie znaczyły? Jego współpracownikom, Maciekowi Skorzy czy Edwardowi Klejdinstowi, też nie podobała się ta burza przed mundialem.

Skorża nie zapomniał twojego wkładu w awans Polski do mistrzostw.

Przed meczem z Ekwadorem wysłał mi SMS, mniej więcej takiej treści: „Dziękuję ci, Tomek, za wszystko. To dzięki tobie tu jesteśmy. Pozdrawiam”. Do niego nie mam pretensji. Po powołaniach podał się do dymisji, ale podobno powiedzieli mu: „Co ty robisz?! Masz małe dzieci”. Wystraszył się i został. Piłkarze też nie mogli za bardzo krytykować decyzji Janasa. Nie chcieli robić jeszcze większego fermentu. W prywatnych rozmowach podkreślali, że nie rozumieją tej decyzji, ale bali się wychylić. Spotkaliśmy się w Krakowie przy drinku z Szymkowiakiem, Kosowskim i Żurawskim. Patrzyli na mnie i nie wiedzieli, co powiedzieć. Byli w ciężkim szoku. Oficjalnie starali się trzymać stronę Janasa i nie krytykowali go, ale przecież znamy się z Wisły jak łyse konie.

A w ostatniej chwili wypadł ze składu Damian Gorawski. W dziwnych okolicznościach. Ktoś do mnie zadzwonił, że na zgrupowanie przyjechał Bartosz Bosacki. Czyli, uznałem, wypadł jakiś stoper: Jop, Mariusz Lewandowski albo Jacek Bąk. Zaraz się dowiedziałem, że to Mariusz Jop, ze względu na złe wyniki badań. Nie chciało mi się w to wierzyć, bo wtedy miał zdrowie jak koń, zresztą czasami tak na niego mówiliśmy. Zadzwońłem więc do „Jopika”. Odbiera jego żona Ania, a ja mówię:

- Hejka! I co? Nie jedzie?
- No nie jedzie.
- Pytam, z jakiego powodu.
- Mariusz mówi, że u Damiana coś wykryli.
- To jednak chodzi o „Gorę”, a nie o Mariusza?
- No tak.

Ale dlaczego Janas dowołał akurat stopera Bartka Bosackiego, który rozegrał przeciętny sezon w polskiej lidze i sam

się pewnie zdziwił powołaniem? A kto strzelił zwycięskie gole w meczu z Kostaryką? Oba „Bosy”. Czapki z głów.

Brak powołania sprawił, że stałem się bardzo popularny. Zyskałem sympatię ludzi, którzy nie potrafili zrozumieć decyzji Janasa. Zdarza się, że pytają jeszcze dziś. A minęło 15 lat!

Mundial pokazał, że ci, co mieli ciągnąć wózek, wcale go nie pociągnęli.

Widocznie potrzebowali kogoś takiego jak ja w eliminacjach. Sami nie dawali rady z Walią, z Austrią, aż wszedł ktoś, kto ich natchnął wiarą, dodał mocy, strzelił bramkę. Na tym mundialu takim piłkarzem mógł zostać Ireneusz Jeleń. Wszedł jako rezerwowy. Tu strzelił w poprzeczkę, tam fajnie podłączył się w meczu z Niemcami czy Kostaryką, ale gola nie strzelił. Gdyby zdobył choć na 1:2 z Ekwadorem czy coś z Niemcami, można byłoby mówić, że w jakimś sensie mnie zastąpił. Ale tego, niestety, nie zrobił.

A bohaterem został właśnie powołany przypadkiem Bosacki, zdobywca dwóch goli z Kostaryką.

Najbardziej było żal tych milionów zawiedzionych kibiców. Średnio mecze reprezentacji ogląda w telewizji po pięć, sześć milionów, a spotkanie z Niemcami zobaczyło chyba dwanaście. Ludzie pewnie nastawiali się na fajny, ofensywny futbol, a tu nic z tego. Zresztą już po meczu z Ekwadorem część piłkarzy miała fatalne relacje z Janasem, więc cudów nie można było się spodziewać.

DZIECIAK Z OSIEDLA PIASTA

Mały Tomek sprawiał rodzicom kłopoty?

Chyba tak bo zamontowano kraty w oknach naszego mieszkania... Mama wspominała, że jak była w ciąży, na nic nie narzekała. Tyle że to nie była moja zasługa, a tego, że ludzie byli bardziej zahartowani w tamtych, niezbyt łatwych latach 70.

– Musiałam urodzić, to urodziłam! Trzeba było w kółko pieluchy prać i prasować? A co to za problem? Nic mi nie przeszkadzało – wspominała. Jeśli w życiu pojawiały się przeciwności, walczyła z nimi i podkreślała za każdym razem: – U mnie wszystko w porządku!

Nie zarażała stresem wszystkich wokół, nie narzekała. Przyszędłem na świat 16 sierpnia 1974 roku w Białymstoku. Dziś moja 70-letnia mama bez względu na porę roku nie schodzi z roweru, a kondycję ma lepszą niż niejedna czterdziestolatka.

Wiele razy rozmawiałem z twoją mamą Marią. Wychowała dwóch synów – ciebie i Leszka, ale marzyła też o córce. „Moi chłopcy – kochani, wiadomo, ale ani się obejrzałam, a już z domu wyfrunęli. Sąsiedzi nawet kiedyś zapytali: «A u was jeszcze jest Tomek? Bo nigdy go nie widać». A Tomek jak zaczął w piłkę grać, to w ogóle go nie było. Mecze, wyjazdy, zgrupowania, turnieje”. Ale wracamy... Mawia się żartem, że przyszli piłkarze mocniej kopią u mamy w brzuch?

W Krakowie poszliśmy z żoną na film „U pana Boga za piecem”. A tam leci tekst: „Posłuchaj, jak kopie, może go do Jagiellonii zapiszemy!?” I wszyscy w kinie w śmiech. Jeśli doszukiwać się jakichś znaków zwiastujących, że zostanę piłkarzem,

to był nim zapach szatni. Gdy się urodziłem, zamieszkaliśmy u moich dziadków ze strony ojca w kamienicy przy ulicy Ciepłej, naprzeciwko stadionu i hali Jagiellonii. Po późniejszej przeprowadzce ten zapach nadal był przy mnie, bo zamieszkaliśmy przy ulicy Pułaskiego, sto metrów od... stadionu Gwardii Białystok. No i jak tu nie zostać piłkarzem?

Miałem siedem lat, gdy ojciec przyniósł mi skórzaną piłkę. Pierwsza prawdziwa piłka! Ależ to była radość. Stałem się kimś ważnym na podwórku. Starsi koledzy dziesięcio-, piętnastoletni brali mnie, a jeszcze chętniej moją piłkę do grania. Goli jednak nie strzelałem, bo najmłodszego stawiano na bramce. Byłem dość zwinny, co pozwalało na udane parady. Często chodziłem koszmarnie odrapany, bo gdy sytuacja tego wymagała, bohatercko rzucałem się na betonowe boisko. A później, kiedy grałem już z rówieśnikami, nie musiałem stać na bramce, trudno było znaleźć lepszego w klasie i na podwórku. Potrafiłem kiwnąć sześciu, ośmiu kumpli z rzędu. Gdy graliśmy klasa na klasę, mojej drużynie nie szło tylko wtedy, jak nie mogłem przyjść. Kiedy grałem, nie było na nas mocnych. Przynajmniej na osiedlu.

Wierzę, bo widziałem.

Wielkie emocje budziły też mecze blok na blok. Moją drużynę tworzyli głównie ci, co już trenowali w Jagiellonii. Przewodniczy z sąsiednich podwórek – we Włókniarzu lub Gwardii. Mieliśmy też ulubioną zabawę „Pierwsza minuta – pierwszy strzał”. Z grubsza chodziło o to, że przez pierwszą minutę było się bramkarzem, a w drugiej napastnikiem. Raz więc na bramkę strzelał Zbigniew Boniek, a po chwili stawał na niej Thomas N’Kono. Później bronił Józef Młynarczyk, a strzelał Roger Milla. Był 1982 rok, mistrzostwa świata w Hiszpanii,

w których Polacy trafili w grupie na Kamerun. Każdy chciał być Bońkiem, Latą lub Smolarkiem.

W końcu jednak miałem problem ze znalezieniem kumpli do gry. Bo ja chciałem grać całymi dniami, a oni po dwóch godzinach siadali ze zmęczenia. Mając osiem lat, udało mi się podbić piłkę dwadzieścia pięć razy. Do tego wyniku nikt się wtedy nie zbliżył. W szóstej klasie tych podbić zrobiłem 600. W tej sztuce lekko deptał mi po piętach tylko Andrzej Sazonowicz, który później trafił do Legii.

W domu rządziła mama czy tato?

Zależy. Od wielogodzinnego grania przed blokiem mogłem mnie oderwać tylko donośny głos mamy. Wystarczyło, że krzyknęła z okna: Tomek!!! I już biegłem do domu. Z mamą nie było żartów. Ale w domu raczej rządził tato. Trzy lata po mnie mama urodziła Leszka. Dzięki niemu szybko zostałem bohaterem. Podczas wakacji u babci na wsi trzyletni Leszek biegł za samochodem, którym odjechał tato, i wpadł do szamba. Jakies nadprzyrodzone siły sprawiły, że udało mi się go chwycić za czuprynę. Wydierałem się: maaamaa! maamaa! Usłyszała, przybiegła z pomocą, wyciągając go z cuchnącego ścieku. A rok 1978 był dla naszej rodziny wyjątkowy. Dostaliśmy upragnione mieszkanie. Na białostockim osiedlu Piasta przy ulicy Słupora, dzisiaj Mieszka I. Mieszkanie nowe, w bloku z wielkiej płyty. „Już” po czterech latach doczekaliśmy się telefonu.

Ojciec?

Był taksówkarzem, numer boczny auta pamiętam do dziś – 291. Bardzo obrotowy człowiek, jak to się mówiło – wszędzie miał chody. Na przykład w sklepie harcerskim, gdzie spod lady można było kupić sprzęt sportowy. Jak przystało na głowę rodziny, to on zarządzał

domowym budżetem. Zdarzało się, że ludzie, którzy często jeździli z nim taksówką, płacili jakimiś starymi, wartościowymi monetami. Później tato mógł je z zyskiem sprzedać pod Peweksem lub korzystnie zamienić. „Srebrnikami” zainteresował się kiedyś brat, w zdawałoby się szlachetnej sprawie... Tuż przed Gwiazdką Leszek poszedł na bazar przy ulicy Bema sprawić mi prezent. Wybrał zegarek marki Seiko. Cudo, elektroniczny, z kilkoma muzyczkami. Sęć w tym, że Leszek zapłacił za ten świąteczny podarek ojcowskimi „srebrnikami”. Na dodatek jak wracał do domu, wyłożył się na chodniku i w zegarku pękła bransoletka. Wręczył mi go bez bransoletki, ale i tak byłem zachwycony, bo któż nie chciał mieć takiego zegarka, choćby w kieszeni? Świąteczna atmosfera przysła następnego dnia, kiedy mama zauważyła brak monet.

– Z piętnastu cztery zniknęły. Gdzie reszta? – zapytała nas.

– Ja nie wziąłem – powiedziałem zgodnie z prawdą.

– Ja też nie – skłamał Leszek. Po krótkim dochodzeniu przyznał się. Byłem lekko wzruszony braterskim poświęceniem, ale mama nie była skłonna do sentymentów w tej sprawie. W ruch poszedł kabel od magnetofonu, dyżurna dyscyplinka mamy. Gdy nadchodził atak, staraliśmy się złapać ten kabel, a niekiedy widząc, że wykonanie wyroku jest tuż, tuż – schować go. Ale mama przezornie miała zapasy – na przykład kabel od prodiża.

Była surowsza od taty?

Znacznie bardziej obawialiśmy się jej niż ojca. On rzadko się denerwował. Właściwie nie pamiętam, by choć raz porządnie mi przyłał. Nawet gdy pewnego razu ostro nawywijałem u babci. Chciałem wyciągnąć szklankę z regału. Najprościej byłoby poprosić babcię, ale jej akurat nie było w domu. Trzeba było wspiąć się na pierwszy segment mebla i z wyższej pół-

ki wyjąć tę szklankę. A po wszystkim zeskok na podłogę. Przynajmniej taki był plan... Ale wdrapywałem się w stroju kowboja. Miałem na sobie kapelusz, pas z nabojami i obowiązkowo kamizelkę. Nie zauważyłem, że zeskakując, zahaczyłem nią o uchwyt, a ze mną „zeskoczył” cały regał ze szklankami, talerzami, zastawą stołową. Łubudu! Wszystko runęło na mnie. Z Leszkiem, który przybiegł zobaczyć przyczynę trzęsienia ziemi, ze strachu schowaliśmy się pod stół. Nie minęło pięć minut, jak wróciła babcia, a na podłodze same skorupy. Najpierw jęknęła: „O mój Boże!”, ale że była bardzo krzykliwą kobietą, rozwrzeszczała się i dawaj szukać nas po domu.

Znalazła?

Szczęśliwie nie tak szybko, bo stół był przykryty długą cematą, a później jej przeszło... Innym razem, u drugiej babci, tej mieszkającej na wsi, postanowiłem zobaczyć, jak je koń. Nie spodobało mu się chyba, że zaglądam mu „w miskę” i ugryzł mnie w... klatę. Zabolało, bo byłem w letniej koszulce. Na szczęście skończyło się na zdartej skórze. Strach szybko minął, ale w szkole, a to była pierwsza klasa, przez chwilę robiłem za bohatera. Prężyłem się z dumy, bo przecież nikt nie mógł się pochwalić, że ugryzł go koń.

W rodzinnym domu Frankowskich było biednie, bogato, przeciętnie?

W czasach komuny tak jak u większości i u nas się nie przelewało, lecz dzięki zaradności ojca biedy nie zazналиśmy. Od szwagrów czy kuzynów ze wsi przywoził kury, które mama patroszyła. Zwiewaliśmy z Leszkiem na podwórze, bo w całym domu śmierdziało jak diabli. Ale później ze smakiem zajadało się kurczaka na niedzielny obiad. Ojciec sprawiedliwie dzielił

„dary” ze wsi. Gdy udało mu się załatwić powiedzmy świniaka, dzielił go między siebie i dwóch młodszych braci (mama miała mu to trochę za złe).

Mama była kelnerką w białostockiej restauracji „Turoblanka”. Często przesiadywałem w tej knajpce „na kuchni”. Nieraz zjadło się obiad za friko. Wtedy to nie było byle co, bo przecież niemal wszystko kupowało się na kartki. Pamiętam, że po te kartki biegałem do Spółdzielni Mieszkaniowej „Zachęta”. Odbierałem je też za dziadka, który mieszkał w podbiałostockim Supraślu, ale u nas był zameldowany.

Dziadkowie i babcie to dla dzieci często bardzo ważne osoby.

Lubiłem odwiedzać obie babcie. U tej, która mieszkała tuż przy stadionie Jagiellonii, zawsze można było pograć na placu w piłkę. Pewną niedogodnością, zwłaszcza zimą, była ubicacja na podwórku, ale kto by na to narzekał? Gdy trzeba było przynieść węgla do domu, z zębami zaciśniętymi z wysiłku targałem pełne wiadro. Z ciekawością i dreszczykiem emocji zaglądałem na strych. Było to tajemnicze, wręcz magiczne miejsce. Ciemne, zastawione starymi meblami pokrytymi pajęczynami. Zaglądałem tam ukradkiem i błyskawicznie zwiewałem na dół. Jak miałem trzy lata, spadłem ze stromych, drewnianych schodów. Mama się wystraszyła, bo po tym wypadku przez kilka miesięcy nic nie mówiłem.

Polatach, gdy przychodziłem do babci, wciąż miałem tych samych kolegów. Wspólnie wybieraliśmy się na drugą stronę ulicy, na mecze Jagiellonii. By nie kupować biletów, zakradaliśmy się na trybunę od strony rzeki Białki. Przełaziliśmy po rurach ciepłowniczych i szybciotko wciskaliśmy się między ludzi na trybunach. Natomiast u tej babci, która mieszkała na wsi, największymi atrakcjami były skoki w stodole na siano. Wdrapywało się na najwyższą stertę i ze-

skakiwało na mniejszą. Doglądało się zwierzaków, a po wykopkach buszowaliśmy w piwnicy przy okazji rozładowywania kartofli z furmanki.

Osiem lat mieszkaliśmy na osiedlu Piasta, na blokowisku. Kłopoty zdrowotne taty sprawiły, że z mieszkania na trzecim piętrze musieliśmy się przeprowadzić do domku. To ulica Pusta na osiedlu Wygoda. W tym domu mama mieszka do dziś.

Na co chorował tato?

Zaczęła dawać mu się we znaki praca taksówkarza. Brak ruchu, kilkanaście godzin za kółkiem, często całymi nocami, posiłki nad ranem, często zbyt obfite. Generalnie nieregularny tryb życia sprawił, że mimo iż nie palił i nie nadużywał alkoholu, dość często chorował. W 1986 roku, wracając ze swoimi braćmi z Warszawy, dostał wylewu. Przewieziono go do najbliższego szpitala – w Zambrowie, a stamtąd – do Białegostoku. Dopadł go częściowy paraliż lewej strony ciała. Stracił władzę w lewej ręce i nodze. Z parterowego domku tato mógł o własnych siłach wyjść do ogrodu, odetchnąć świeżym powietrzem. Lekarze zapowiadali, że rehabilitacja po wylewie jest ciężka, żmudna. A gdy nie było zbyt widocznej poprawy, ojciec miewał załamania nerwowe, ponieważ był w miarę młodym człowiekiem, dobiegającym czterdziestki. Gdyby w tamtych czasach medycyna stała na dzisiejszym poziomie, tato być może żyłby dalej. Przez paraliż kontakt z nim był utrudniony. Ale zapamiętałem go jako pogodnego, fajnego gościa...

Kiedy odszedł?

Zmarł w 1989 roku, po dawce silnych leków, które podano mu w szpitalu. Mama przypuszczała, że lekarze popełnili błąd. Opoowiadała mi, że po śmierci ojca ordynator oddziału zamknęła

się w gabinecie i nie chciała spojrzeć mamie w oczy... Mama potem już z nikim się nie związała. Szukała kogoś podobnego do taty, swojej wielkiej miłości. Nie znalazła. Jest tradycyjną kobietą. Zaangażowała się w działalność kościelną, śpiewała w chórze, a od czasu do czasu wplącała co nieco ojcu Rydzyskowi...

Iskrzy? Przecież politycznie jesteś po drugiej stronie barykady.

Szanuję poglądy mamy, jej opinię, lecz głosujemy chyba inaczej.

Do szkoły podstawowej, gdy mieszkałeś jeszcze w bloku, miałeś chyba najbliżej z całej klasy.

Podstawówka numer 10, sąsiadowała z moim blokiem. Dzwonek na lekcje słyszałem w domu. Przez pierwsze trzy lata byłem bardzo dobrym uczniem, a w płynności czytania należałem do ścisłej klasowej czołówki. Pamiętam dokładnie, że bardzo dobrze wypadłem w teście – czytaniu na czas. Taki sprawdzian przeprowadziła wychowawczynie w drugiej klasie. Wygrał klasowy prymus Maciej Łukasiewicz, który w minutę przeczytał 120 słów, ja – o połowę mniej, lecz i tak dało mi to trzecie miejsce.

Mimo to człowiek niecierpliwie wyczekiwał ostatniego dzwonka. Dzikim pędem do domu, tornister w kąt i na boisko. A przy pospiesznym powrocie do domu, często gdy było już ciemno, czasem wbiegałem do mieszkania sąsiadów na drugim piętrze. W końcu mama położyła obok drzwi cegłę. Pędzę po schodach, rzut okiem – cegły są? Są. OK, moje drzwi.

Po trzeciej klasie skończyły się jednak taśmowo zdobywane piątki. Powód bardzo prosty – zacząłem piłkarskie treningi w Jagiellonii.

Rodzice nie mieli nic przeciwko, bym chodził na treningi. Wiedzieli przecież, że piłka to moja wielka pasja. Tato zawsze znajdował czas, by mnie zawieźć i odebrać z zajęć.

Wielkiego wyboru nie było.

Przeciwnie! Oprócz Jagiellonii w Białymstoku działało kilka innych klubów z mnóstwem dzieciaków. Gwardia czy Włókniarz. Klubowy trener Jagi Mirosław Mojsiuszko zorganizował halowy turniej dla szkół podstawowych. Nasz nauczyciel wuefu Bogdan Piotrowski kazał mi, wyróżniającemu się piłkarzowi, wybrać piętnastu chłopaków i podzielić ich na trzy piątki. Pierwsza z nich miała być tą najmocniejszą. Turniej wygraliśmy śmiesznie łatwo. W finale pokonaliśmy drużynę, w której na bramce stał Daniel Bogusz, mój późniejszy kumpel z Jagi, znany przede wszystkim (ale już jako obrońca) z Widzewa i niemieckiej Arminii Bielefeld. Z turnieju zabrałem do domu dwa dyplomy (mam je do dziś): dla najlepszego technika i najsukuteczniejszego strzelca.

Naszą zwycięską piątkę i wyróżniających się chłopaków z innych drużyn zaproszono na treningi do szkoły Jagiellonii. Trenerem, choć tylko na rok, został Mojsiuszko. Później odszedł do pracy z seniorami Jagi. Zastanawialiśmy się w szatni, kto u nas zostanie jego następcą. To był nasz pierwszy poważny problem związany z piłką. W końcu dowiedzieliśmy się, że nowym szkoleniowcem będzie Ryszard Karalus. Mniej więcej w tym samym czasie do naszej drużyny przyszedł z Włókniarza Marek Citko. Któż mógł wtedy przypuszczać, że wkrótce będziemy trzęśli młodzieżową piłką w całej Polsce!

PIŁKARZ W BIAŁYCH SANDAŁKACH

Pamiętasz pierwszy turniej? Bo chyba taka pierwsza prawdziwa rywalizacja to przeżycie dla każdego młodego sportowca.

Pierwszy turniej nie był dla nas wielkim przeżyciem. Przeżyciem był 1 Maja, w tamtych czasach hucznie obchodzone święto. My ubrani w piękne, nowe dresy maszerowaliśmy w pochodzie z przodu grupy z tabliczką „Jagiellonia MKSB”. Dumni jak pawie. Czuliśmy się jak futbolowe sławy, a nie piłkarskie gołowąsy.

Na pierwszy obóz pojechaliśmy w 1985 roku, do Siemiatycz, 80 kilometrów od Białegostoku. Trener Karalus forował mnie trochę, byłem jego pupilem. Chwalił za spryt na boisku, nazywał tygryskiem i powtarzał, że niezły ze mnie materiał na piłkarza. Wieczorem, już po ciszy nocnej, trener oglądał „Sportową niedzielę”, a my zakradaliśmy się podglądać wyniki ligowe. Jeśli dopisywało szczęście, udało się, choć z duszą na ramieniu, zobaczyć skróty meczów ekstraklasy.

Po raz pierwszy bez rodziców. Trudno było znieść rozłąkę?

W niedzielę nas odwiedzali. Mieliśmy radochę, gdy Maciek Rokicki dostał arbuza, a to był wtedy rarytas. Wszyscy się rzucili z okrzykiem: daj kawałek! Maciek dziabnął nożem, lecz nie w arbuza, a we własną rękę i musiał jechać do szpitala. A ja najadłem się wstydu, bo koledzy okrutnie się ze mnie naśmiewali, gdy zobaczyli, jaki prezent przywiozła mi mama. Białe sandałki, gumowe, które nadawały się do pójścia na komunię, a nie do chodzenia. Kiedy wyjąłem je z plecaka, koledzy pła-

kali ze śmiechu. Nawet im nie mówiłem, że to rodzina przysłała mi je z USA... Schowałem je na dno plecaka i już nigdy nie chciałem oglądać. Ale oprócz tych nieszczęsnych sandałków rodzice przywieźli małego brązowego ratlerka, który w przeciwieństwie do obciachowego obuwia bardzo spodobał się kumplom. Po kilku dniach zrobiłem kartę pływacką, choć jeszcze pierwszego dnia obozu potrafiłem jedynie trzymać się drabinki i przebierać nogami w wodzie. W zasadzie każdy z nas wracał z Siemiatycz z jakimś osiągnięciem. Daniel Bogusz z Jackiem Chańką pobili rekord drużyny, podając w parze sto razy piłkę głową tak, by futbolówka nie dotknęła ziemi.

Pogodzić sport ze szkołą – wielu młodym łatwiej połączyć ogień z wodą.

Na boisku szło mi coraz lepiej, za to z „formą” w szkole dokładnie na odwrót. Piątki szybko zamieniły się w trójki. Co prawda były to trójki mocne, nie z litości, ale jednak. Coraz częściej wyjeżdżałem na turnieje, opuszczałem lekcje. A tu doszły jeszcze trudniejsze przedmioty: fizyka czy chemia. Skłamałbym, że rozpaczałem z powodu słabszych ocen. Piłka wszystko mi przesłaniała, a skoro odnosiłem w niej małe, ale jednak sukcesy, zjazd ocen nie był dla mnie problemem.

A oprócz piłki dochodziły jeszcze jakieś podwórkowe uciechy?

Dopiero później. W siódmej klasie podstawówki po raz pierwszy wybraliśmy się z kumplami z klasy na piwo. Niewiele nam trzeba było... Już po jednym granacie, czyli charakterystycznej butelce, w której wówczas sprzedawano piwo, zakręciło mi się w głowie. Papieroski też popalałem, ale z fajkami było u mnie jak u prezydenta Billa Clintona z trawką, nie zaciąga-

łem się. Palenie „rzuciłem” jako 14-latek, gdy zrobiło mi się niedobrze po wypaleniu dwóch z rzędu mentolowych zefirów. Od tamtego momentu stałem się absolutnym wrogiem papierosów.

Z poważniejszych występków... Zdarzało nam się coś zwędzić ze sklepu. Nie z biedy, a dla przygody. Śmiałyśmy się z tych akcji, choć raz było groźnie. Bardzo lubiłem truskawkopodobne dziwactwo, które nazywało się kremogen. To takie mocno zmrożone lody o smaku truskawki. Wychodziłem ze sklepu z tym przysmakiem, kiedy niestety przyuważyła mnie sprzedawczyni.

Dopadła cię?

– Chodź, chodź tu! – zawołała i poprowadziła mnie na zaplecze. Myślałem, że się spalę ze wstydu. Miałem do wyboru jedno z trzech wyjść:

– Baty, telefon na policję czy telefon do rodziców? – zapytała.

Miałem w kieszeni pieniądze, więc poprosiłem, żeby po prostu pozwoliła mi zapłacić. Zaoferowałem nawet, że zapłacę za trzy, nie biorąc żadnego.

– Nie! – burknęła.

– No to wybieram baty – powiedziałem.

Stwierdziła jednak, że bić mnie nie będzie i skorzysta z trzeciej opcji, czyli telefonu do moich rodziców. Ale Bóg nade mną czuwał, bo odebrała babcia. Po godzinie spocony ze strachu wróciłem do domu.

– Dzwonili ze sklepu ze skargą, że chciałeś ukraść lody! – krzyczała.

– Oj, babcia. To koleżanki z klasy kawały robią – wyłgałem się.

To była bardzo dobra nauczka. Od tamtej pory nie podkradłem nawet wykałaczkę.

Z kumplami z klasy sprytnie potrafilismy też zorganizować sobie dodatkowy wolny czas. Ojciec Norberta Skoczyłasa był trenerem w Jagiellonii. Norbert podprowadzał mu papier klubowy opatrzony pieczętką. Wypisywalismy „prośbę” z klubu o zwolnienie nas na, powiedzmy, dziesięciodniowy turniej w Zabrze. I w tym czasie szkołę mieliśmy z głowy. A poświęcenie niektórych kolegów, by nie pisać klasówki, mocno pobudzało wyobraźnię. Artur Kotala, sąsiad z klatki i kolega z klasy, wpadł na pomysł zagipsowania sobie ręki, by uniknąć pisania sprawdzianu. Gips produkował w wannie. Jednak coś pokręcił z proporcjami, bo nijak nie chciał wiązać. Skończyło się na tym, że Artur od stóp do głowy był umorusany na białe. No i plan szlag trafił.

Ale z podstawówki numer 10 na jakiś czas musiałeś się przenieść.

Z powodu przeprowadzki z bloku do domu, musiałem przenieść się do Szkoły Podstawowej numer 8. Pamiętam pierwszy wuef z nowymi kolegami. Jako ostatniego wybrali mnie do drużyny. Ale zrobili to tylko raz, później szarpali się, by mieć mnie w swoim zespole. Niezbyt dobrze czułem się w nowej szkole i po roku wróciłem do swojej „dziesiątki”. Nie mogłem znaleźć wspólnego języka z chłopakami z osiedla Wygoda. Piasta to było Piasta. Wolałem iść do szkoły piętnaście minut zamiast minuty, ale być z kumplami, których znałem od lat.

Pamiętasz swoje pierwsze „poważne” zawody?

Mundialito '86 – taką nazwę miał turniej. Brały w nim udział drużyny osiedlowe z jednej szkoły podstawowej. Moją

tworzyli uczniowie klas siódmej i ósmej, ale był rodzynek z klasy szóstej – Tomek Frankowski. Wygraliśmy białostockie eliminacje i mogliśmy się pakować do wyjazdu na finał do Olsztyna, w którym brało udział dwanaście najlepszych drużyn w kraju. Kiepsko nam poszło. Przegraliśmy niemal wszystkie mecze. Miałem jednak satysfakcję, bo zostałem królem strzelców i dostałem nagrodę dla najmłodszego uczestnika. Po powrocie do Białegostoku – niespodzianka. Dyrekcja postanowiła, że za godne reprezentowanie szkoły nagrodzi mnie i to w trakcie uroczystości zakończenia roku szkolnego dla klas siódmych i ósmych. Ale nie chciano wpuścić mnie do sali gimnastycznej, bo młodsze roczniki miały zakończenie później. Długo wyjaśniałem woźnej, że przyszedłem po nagrodę. Wpuściła. Z niecierpliwością czekałem, kiedy pani dyrektor wyczyta moje nazwisko. W końcu! „Dla najlepszego piłkarza naszej szkoły mam zaszczyt wręczyć nagrodę za zdobycie tytułu króla strzelców w turnieju w Olsztynie”. No i wyskoczyłem na środek sali. Blondwłosa, przejęty brzdąc dostał wielkie brawa, a w nagrodę: rakiety do badmintonu i bardzo popularną wówczas torbę – chlebak. I uścisk dłoni dyrekcji. A moim rodzicom zaocześnie podziękowali szefowie Spółdzielni Mieszkaniowej „Zachęta”, obecni na apelu. Oznajmili, iż mają bardzo utalentowanego syna. Gdy wszedłem do domu z nagrodami i opowiedziałem rodzicom całą historię, wybaczyli mi tróję na świadectwie. Tak piłka uratowała mi skórę.

Porażkę w turnieju, choć osłodzoną tytułem króla strzelców, szybko zacząłeś odbijać sobie z drużyną Jagiellonii.

Tak jest. Mieliśmy zespół, o którym napisać, że o głowę umiejętnościami przerastał rywali, to nic nie napisać... W trampkach i juniorach często wygrywaliśmy bardzo wysoko. Jak to

w sporcie, porażki również się zdarzały, choć sporadycznie. W finale Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w 1991 roku spotkaliśmy się z Krakowem. Dusiliśmy rywala przez cały mecz, prowadziliśmy 1:0, ale w końcu udało im się strzelić dwa gole. Do końca spotkania trzy minuty, a my tracimy gola na 1:2. Wznawiamy grę od środka i wtedy sędzia Wit Żelazko...

Ten sędzia Żelazko?! Później arbiter międzynarodowy i ekspert Canal+, a na końcu oskarżony w aferze korupcyjnej?

Ten sam. I pan Wit mówi do mnie: – Hej, mały, idźcie pod ich bramkę, to wam karne gwizdnę, bo z taką grą nie zasługujecie na porażkę. Niestety, rywale szczelnie zamurowali bramkę, nie mieliśmy szans precyzyjnie się na ich pole karne i z pomocy pana Żelazki nie potrafiliśmy skorzystać. Ale we wczesnej młodości piłka niezwykle rzadko zmuszała mnie do łez. W końcu i one mi popłynęły po policzkach i to w najmniej spodziewanym momencie i z najmniej spodziewanej strony – po słowach trenera Ryszarda Karalusa. Podczas treningu burknął pod nosem, że może Jagiellonia powinna wykupić mi obiady, bo coś chudo wyglądam.

I tak cię to zabolalo?

Bardzo, a miałem 13 lat. Uznałem, że trener uważa, iż moich rodziców nie stać na jedzenie. Wziąłem to sobie tak do serca, że postanowiłem... zmienić klub. Tydzień nie trenowałem. Po tem pojechałem zapisać się do Gwardii. Siedziałem z kumplem na ławeczce pod szatnią. Czekaliśmy na trening w nowym klubie, a tu nagle wyjeżdża zza rogu pomarańczowy fiat trenera Karalusa. „Co on tu robi?” – pomyślałem. Wysiadł, zagadał do mnie, że wciągnij na mnie liczy, a na koniec jakby od niechcenia

rzucił: – Wiesz, za dwa tygodnie jedziemy na turniej do Związku Radzieckiego... Masz paszport?

Oczy mi się zaświeciły. Turniej zagraniczny! Szybko zapomniałem o konflikcie. Następnego dnia poszedłem na trening do swojej Jagiellonii.

I jak było za tą granicą?

Dla młodego człowieka w PRL taki wyjazd był wielkim przeżyciem. Już przy przekraczaniu granicy w Grodnie zrobiło się i śmieszno, i straszno. Trener Karalus poprosił, bym wziął jedną z jego toreb ze sprzętem sportowym. Wchodzi celnik i pyta: – Co masz w tej torbie?

– Ubrania sportowe. Buty piłkarskie – odpowiadam. Otworzył torbę, a tam kilkadziesiąt równiutko poukładanych spódniczek w kratkę.

– To twoje? – pyta celnik.

– Nie moje – płonąłem ze wstydu.

– To czyje?

Na szczęście trener przyznał się, że to jego. Było trochę nieprzyjemności, lecz ostatecznie celnik też człowiek... Przymknął oko na rzeczy wiezione „na handel”.

Inna historia. Powrót z obozu w Rydze. Podchodzimy całą drużyną do autokaru, żeby włożyć torby do luku bagażowego.

– Tam nie ma miejsca – ostrzega nasz kierowca.

W środku autokaru też nie było, ponieważ... stały tam dwa motory! Oprócz nich kartony z telewizorami i sprzętem AGD. Dowiedzieliśmy się, że bagażniki, do których chcieliśmy włożyć swój sprzęt, są zajęte przez kanistry z benzyną, bo ją też opłacało się przywieźć do Polski. To wszystko należało do trenerów i działaczy. Trener Karalus przede wszystkim był świetnym szkoleniowcem, ale miał też zmysł do interesów i w biznesie odnalazł-

by się bez problemów. W tamtych czasach wielu szkoleniowców, a przede wszystkim działacze wykazywali się niezłą smykałką do handlu.

A wy, juniorzy, też próbowaliście?

Kilku kolegów z drużyny, mimo młodego wieku, doskonale sobie radziło. Ja przeciwnie. Zdarzało mi się zabrać dziesięć par spodni, co było śladową liczbą przy tym, co przewozili inni. Wiozłem dekatyzowane dżinsy o nazwie Mavin. Gdy dostaliśmy od trenera wolny ranek, większość ruszyła na bazar, by kilka godzin postać, targując się o jak najlepszą cenę. Mentalnie sprzedałem dżinsy. Dostałem połowę tego, co można było utargować.

Na zgrupowaniu w Wilnie w hotelowym pokoju grałem z kolegą w piłkę. W pewnym momencie palnąłem ją za mocno i wybiłem szybę. Na szczęście w oknach były po dwie. Dokładnie posprzątałyśmy szkło. Jednak nazajutrz sprzątaczką zauważyła niekompletne okno i doniosła trenerowi. Był to ostatni dzień naszego pobytu, a ja splukany musiałem poprosić kolegów o zrzutkę. Zebrałem 11 rubli. Szyba kosztowała dziesięć. Zostało mi na lody czekoladowe za 39 kopiejek. Takie to były moje interesy.

Zresztą mało kto z kolegów robił dużo lepsze, może z wyjątkiem Marka Citki. Miał dryg do handlu nie mniejszy niż do piłki. Pamiętam, że zabrał na Litwę do przehandlowania kurtkę dekatyzowaną (ja i koledzy gumy Donald). „Citek” powpiął w klapy tej kurtki znaczki popularnych zespołów – Depeche Mode, Europe i żądał za nią zawrotnej sumy – 350 rubli. Byliśmy w szoku. Bo my, sprzedając gumy, ciułałyśmy po rublu i jeśli udało się nazbierać ze dwadzieścia, to człowiek miał radochę, że hej. A Marek sprzedał ją chyba po trzech dniach za – oczywiście – 350 rubli i cały handel miał z głowy.

Inne „przestępstwa” młodych piłkarzy?

W lutym 1991 roku, w łotewskim kurorcie Liepaja, trener pozwolił nam wyjść na dyskotekę. W końcu byliśmy już starszymi nastolatkami. Przed wyjściem wypiliśmy co nieco na odwagę i – jak to się mówi – pod humorek. W pięciu rozpracowaliśmy butelkę wódki.

– Poczekajcie chwilkę, wypijemy jeszcze na drugą nogę – prosiłiśmy „abstynentów” – Maćka Rokickiego i Piotra Dobrowolskiego. Ale oni wyszli z pokoju. A raczej – chcieli wyjść, ale w drzwiach spotkali się twarzą w twarz z trenerem (który zapewne podsłuchiwał)! Bogusz Bagiński rzucił się do ucieczki i przemknął obok trenera. Zostało nas pięciu: Marcin Poniewozik, Krzysiek Drągowski, Mariusz Piekarski, Sebastian Kochmański, no i ja.

Druga butelka stała ledwie napoczęta. Ależ rozpętała się awantura! Uczestnikom przyjęcia trener wypłacił w twarz z otwartej ręki. W końcu obiecaliśmy, że to pierwszy i ostatni raz. Trener powiedział, że mi wierzy, reszcie nie. Zakończyło się pogadanką o zdradliwym wpływie alkoholu na zdrowie, szczególnie młodych ludzi. Szkoleniowiec trochę ochłonął, a nagle Piotrek Dobrowolski wypalił: „Wie trener, tak pod humorek chcieliśmy”. I trener znowu wpadł w szal.

Od tamtego czasu, daję słowo, niewiele razy piłem wódkę. Na pewno na swoim weselu i może na dwóch weselach znajomych. Ale nie ze względu na młodzieńczą obietnicę. Wódka mi nie smakuje, podpisuję się pod zdaniem usłyszanym kiedyś od Tomasza Hajty: „wódka jest ordynarna!”. Zresztą każdy z nas marzył o zrobieniu kariery, a nie przetańczeniu talentu.

I wielu z waszej drużyny ten plan zrealizowało.

Kibic piłki, ten nieco starszy, pamięta, jak grali Daniel Bogusz, Jacek Chańko, Mariusz Piekarski, Bartosz Jurkowski czy

Marek Citko. Daniel był mistrzem Polski z Widzewem i grał w Lidze Mistrzów, o Marku wystarczy napisać „citkomania” i wszystko jasne. Wembley, gol z połowy przeciwko Atletico Madryt. Jacek trafił do Werderu Brema. Mariusz czarował w Brazylii. Bartek był bardzo solidnym ligowcem.